

LICZENIE CZARNYCH OWIEC

KRZYSZTOF GROT



Liczenie czarnych owiec

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

SPIS TREŚCI

[Liczenie czarnych owiec](#)

[Prawda](#)

[Sztuczki](#)

[Wiedźma](#)

[Szczelina](#)

[Dowcipy.](#)

[Sroka](#)

[Przy herbacie](#)

PRAWDA

O dziesiątej można było na chwilę oderwać się od chaosu, który ich napędzał i zabijał jednocześnie. Dzwonki telefonów, rosnąca ilość maili, spotkania, wyjazdy, teksty, teksty i jeszcze raz teksty znikwały dokładnie o dziesiątej. O tej pięknej godzinie wychodzili ze swojego biura, schodzili na półpiętro prowadzące do archiwum, przez które niemal nikt nie przechodził, i pili kawę w swoich ulubionych kubkach.

Patrzyli przez okno na ulicę, parking i główne wejście prowadzące do ich świątyni wiecznie głodnego boga informacji. W niektóre dni ich oczom ukazywała się wysoka blondynka, na jednym z ramion taszcząca ogromną teczkę na rysunki. Pod ich budynek podjeżdżała tramwajem, przeciskała się przez zirytowanych pasażerów i dziarskim krokiem podążała do pracy.

Dziś też ukazała się jego oczom. Miała na sobie obcisłą sukienkę o dziwnym kolorze. Większość facetów powiedziałyby, że jest niebieska, ale on do nich nie należał. Długo szukał słowa dobrze ją opisującego, sącząc przy tym z wciąż cholernie drogą kawę (378 złotych za kilogram). Wreszcie wiedział. Była modra. Piękna jak niebo w udany wakacyjny dzień. Jak woda w jeziorze o idealnej temperaturze. Jak kolor jego serca.

– Modra – mruknął, by posmakować tego słowa. Było smaczniejsze od pitej kawy.

– Co? – zapytał jego kumpel.

– Jej sukienka jest modra – odparł.

– Spoko, nie wiem, jaki to kolor, ale pewnie masz rację.

– To na pewno modry. Mogę się założyć.

– Nie polemizuję – odparł z uśmiechem.

– Zdradzę ci coś. Jestem w niej cholernie zakochany.

Jego kolega aż zakrztusił się kawą. Potem uśmiechnął się niepewnie.

- Masz dzisiaj specyficzny nastrój – powiedział.
 - Kocham ją całym sobą. Jest dziewczyną z moich snów.
 - Dobra, spoko, chyba przesadziłeś z tą kawą. Z ilu ziaren ją zrobiłeś? Może...
 - Kocham ją tak mocno, jak mocno nie kocham mojej żony. Brzydzę się ciałem żony, jej rozstępami, fałdami tłuszczu i przebarwieniami. Żeby dojść, muszę myśleć o dziewczynie z teczką do rysunków.
 - Dobra, nie wiem, czy żartujesz, ale chciałbym, żebyś już zamknął mordę – powiedział pół żartem, pół serio.
 - Nie jestem pewny, czy kocham moje dzieci. Chyba się do nich po prostu przyzwyczaiłem.
 - Ja pierdole. Już wolę wypić resztę kawy w kuchni razem z rozgadanyimi babami. Narka – powiedział i zaczął odchodzić.
 - Nienawidzę pisać artykułów tak, by nie urazić chujów dumnie reprezentujących nasze miasto. Dość już tego pierdolenia. Od dzisiaj będę prawdziwy. To mój sposób, wiesz?
- Stojący na schodach kolega odwrócił się do niego na chwilę.
- No dobra, niech ci będzie, zapytam. Na co to sposób?
 - Na fascynujące samobójstwo – odparł i poczuł, jak wielki głąz spada z jego serca.

SZTUCZKI

Ona uwielbiała jego, a on uwielbiał ją. Znał ją niemal od urodzenia. Na salę porodową dotarł szybciej od swojego brata, dumnego ojca najpiękniejszej istoty na świecie. Ta istota miała na imię Ola. I była tak cudowna, że nie mógł się powstrzymać, by nie mówić za każdym razem, gdy zrobiła coś dobrze: „Ola, ole!!!”. Kiczowate? A kogo to obchodziło? Jemu się podobało, a ona lubiła to, co on. Słyszała „ole”, gdy zrobiła pierwszy krok, gdy po raz pierwszy sama skorzystała z nocnika wygrywającego melodię „Eye of the Tiger” (dostała go od niego), gdy po raz pierwszy wypowiedziała nieporadnie jego imię (zamiast „Józef”, powiedziała „Usew”). Potem jego imię zmieniło się na Okel. Wszystko przez sztuczki.

Lubił patrzeć na jej pełną niedowierzania twarz, gdy pokazywał jej znikanie jakiegoś przedmiotu. Niedowierzenie, a potem śmiech. A jeszcze potem bicie brawa małymi, nieporadnymi rączkami.

Kiedyś zaprezentował jej jakąś sztuczkę z kartami. Mniejsza o to jaką. Gdy pokazał jej Jokera, powiedziała, że to on. Pamiętała, że jego imię zaczyna się od dziwnego znaku „J”, takiego samego, jak ten na karcie z panem w śmiesznej czapce (no cóż, uczył ją pisać, gdy miała dwa latka).

– To Joker – powiedział jej, dumny z tego, że przypisała mu najbardziej wyjątkową kartę z całej talii.

– Okel! – krzyknęła i wskazała na niego.

Od tamtego czasu był najpierw wujkiem Okelem, potem wujkiem Jo, a później Jokelem, nareszcie Jokerem. To mu jednak nie wystarczyło. Lubił mówić, że jest jak Clyde, a ona jak Bonnie. Ola kompletnie nie wiedziała, o co chodzi wujkowi, ale śmiała się, bo on się śmiał. Jedynie jego bratowej nie podobały się te porównania, ale traktowała je

jako coś niewinnego. Zaniepokoiła się dopiero, gdy Jok... znaczy się Józef, jej szwagier, pokazał jej córce numer z oderwanym palcem.

To była sztuczka prosta jak budowa cepa (zresztą jak wszystkie w jego wykonaniu). Polegała na tym, że zginało się palec wskazujący u lewej ręki, by jego część zastąpić częścią kciuka prawej dłoni. Potem dodawało się trochę aktorstwa i można było nabrać siedmiolatkę, że oderwało się sobie kawałek ręki. Efektem specjalnym tego numeru było trzymanie w zgiętym palcu wskazującym ampułki ze sztuczną krwią, którą przebijało się paznokciem, gdy dochodziło do „oderwania” części ciała.

Mam Oli nazwała go psycholem i spiorunowała go śmiercionośnym spojrzeniem. Nie zrobiła niemal nic więcej głównie przez to, że Ola była zachwycona. Piszcziała i śmiała się na przemian.

– Coś ty zrobił z moją córką?! – powiedziała groźnie, a potem się uśmiechnęła, pozwalając, by humor Oli się jej udzielił.

Mimo że wujek Józek był trochę dziwny, nikt nie miał zastrzeżeń, by pewnego kwietniowego dnia popilnował bratanicy podczas nieobecności jej rodziców.

Joker zrobił to z wielką przyjemnością. Mało tego, na ten dzień przygotował coś specjalnego – wspólną kąpiel.

Gdy pluskali się z sobą w wannie, śmiali się, krzyczeli i piszczeli (no dobra, Józef nie piszczał), wreszcie padło pytanie o pewien szczegół budowy ciała mężczyzny.

– A, to, to taki dodatkowy palec każdego chłopaka. Pokazać ci sztuczkę z nim w roli głównej?

– Taaaaaaak!!! – krzyknęła Ola.

– No dobra. No to słuchaj. Pamiętasz znikający palec, który był potem cały we krwi?

– Pewka. Mamie się nie spodobał...

– No wiem, ale tobie tak, prawda?

– Było megafajowsko – odparła i pokazała mu swój najszerszy uśmiech.

– No to świetnie. Dziś zrobimy coś podobnego z tym dodatkowym, męskim palcem. Też zniknie, a potem pojawi się cały we krwi. Potrzebuję do tego asystentki. Zostaniesz ją?

– Taaaaaaaak!

– No dobra...

Gdy już wyszli z wanny, Ola postanowiła, że przed pokazem trochę się pobawi z ulubionym wujaszkiem. Postanowiła, że tuż po wytarciu się ręcznikiem zacznie przed nim uciekać po domu. Jak pomyślała, tak zrobiła. Wujek jak zwykle chętnie przyłączył się do jej zabawy. Gonił ją tak, by jej nie złapać. Teraz była jego króliczkiem, a gonitwa przetrzeźniała między ustami a brzegiem pucharu.

W ferworze zabawy nie zauważyli, że drzwi wejściowe się otworzyły. W progu mieszkania stanął ojciec Oli. Wrócił wcześniej, bo na szkolenie, na którym powinien teraz być, nie stawiał jeden z wykładowców. Tak się składało, że trzymał w ręku piłę mechaniczną.

Jako że miał trochę niezagospodarowanego czasu, a Ola była w dobrych rękach, w drodze do domu wstąpił do znajomego i pożyczył od niego piłę. Zrobił to, bo planował pojechać w weekend na wieś, w odwiedziny do swoich rodziców, by pociąć im drewno, które zakupili do kominka.

Stał teraz w progu i spoglądał na niecodzienny widok. Nie był pewny, jak długo to robił. Wreszcie podbiegła do niego Ola. Krzyknęła: „Ooooooo, tata!” i wtuliła się w niego. Potem dodała:

– Tata, chcesz zobaczyć sztuczkę? Wujek pokaże znikający palec, tak jak kiedyś, ale teraz zniknie ten, który mają tylko chłopaki. Będę jego asystentką!

Ojciec Oli spojrział na swojego brata. Ciężar w jego dłoni zaczął nabierać nowych znaczeń.

WIEDŹMA

Od zawsze w jego rodzinie mówiło się, że babcia jest wiedźmą. Oczywiście mówiło się o tym po cichu, żeby nie urazić seniorki rodu. I najczęściej wtedy, gdy wszyscy mieli dość Bogumiły. A ona potrafiła dopiec. Mimo dziewięćdziesięciu lat na pomarszczonym karku była w stanie doprowadzić człowieka do wrzenia. Uwielbiała zbierać o członkach rodziny informacje tylko po to, by później deptać najświętsze wartości bliskich. Szczególnie chętnie dopiekała ciotce Elżbiecie, która kochała psy. Uwielbiała rozprawiać o chińczykach i ich upodobaniach kulinarnych. Była specjalistką od festiwalu psiego mięsa organizowanego w Youlin. Poza tym opowiadała się po stronie myśliwych... ale tylko wtedy, gdy nie było w pobliżu kuzyna Maćka, który należał do koła myśliwskiego. Gdy miała z nim do czynienia, zamieniała się w zagorzałą zwolenniczkę praw zwierząt. Chętnie pokazywała wtedy ludziom nagrania z ukrytych kamer (to niezwykle, ale potrafiła obsługiwać komputer i Internet), w których myśliwi zachowują się jak banda debili.

Wnerwianie innych było znakiem rozpoznawczym babci, ale nie to (albo nie tylko to) sprawiło, że lubiano nazywać ją wiedźmą. Jej przydomek wziął się głównie z jej skłonności do czarnowidztwa. Każdemu potrafiła przepowiedzieć przyszłość. Zawsze była to przyszłość rodem z koszmaru. Na przykład ciotce Elżbiecie wmawiała przez lata, że jej pies wreszcie jej ucieknie z domu i na pewno zostanie przejechany. „Twój kundel nie będzie temu winien. To ty będziesz odpowiedzialna. Nigdy nic nie robiłaś dobrze. Zawsze trzeba było cię niańczyć”. Dla Maćka też miała wróżbę. Była pewna, że zostanie postrzelony na polowaniu. I wiecie co? Jej wróżby się sprawdziły. Ba, nie tylko te dwie. Mamie Bartka powiedziała na przykład, że rozstanie się z mężem. I co? Rozstała się. Przewidziała także,

że straci pracę. Straciła. Że wpadnie w depresję. Wpadła. Tak, mama Bartka, Ania, nie miała z nią lekko. Za każdym razem, gdy ją odwiedzała, bała się kolejnej rewelacji ze swojej przyszłości.

Bartka to irytowało. Właściwie to nawet wkurwiało. Właściwie to bez „nawet”. Nie cierpiał babci. Nigdy niczego od niej nie dostał prócz badawczych spojrzeń. Bał się jej nie mniej niż matka, dlatego zabronił mówić Ani o nim cokolwiek seniorce rodu. Podświadomie próbował przed nią uciekać. Jeździł tylko na spotkania z nią, gdy nie miał innego wyjścia. Będąc u niej miał na sobie rzeczy, których nie lubił. Gdy go o coś pytała, starał się wprowadzać ją w błąd. „Synku, lubisz w piłkę kopać?”. „Nie, gram w koszykówkę” – odpowiadał, choć do kosza nie trafiał z metra, a w nogę grał w każdą niedzielę.

Mijały lata. Babcia się starzała, Bartek dorastał. Wreszcie poszedł na studia, a potem wyjechał na wymianę studentów do Hiszpanii. Nie było go rok. Pobyt za granicą bardzo go zmienił. Wyszalał się i dojrzał. Poza tym gniew na babcię zamienił się w nienawiść do niej. Doszło do tego po tym, gdy jego mama wpadła w depresję. Obiecał sobie wtedy, że gdy wróci do Polski, rozprawi się ze staruchą.

Dotrzymał danego sobie słowa. W wigilię Bożego Narodzenia postanowił przypuścić atak. Przy świątecznym stole zaczął opowiadać o samospelniającej się przepowiedni. Pięknie wyłożył wszystkim zebranym, że babcia nie przewiduje wydarzeń, one je tworzy. Jest przyczyną wszelkiego zła, które spadło na ich rodzinę. Potem opowiedział o wszystkich krzywdach, które wyrządziła. Za jego sprawą każdy przy stole stał się ofiarą prócz babci – ona została oprawcą.

– Nazywamy babcię wiedźmą. Powiedzmy to wreszcie głośno! Dla nas to wiedźma. Powinniśmy tak mówić? Nie. Nie dlatego, że to nieładnie, lecz dlatego, że babcia na to nie zasłużyła. Zasłużyła na coś dużo gorszego! Powinniśmy mówić, jak jest. To – powiedział czerwony na twarzy, wskazując seniorkę rodu – bardzo stara kobieta, zgorzkniała, nieszczęśliwa i samotna, która, by udowodnić sobie, że ma jakiś wpływ na świat, robi wam pranie mózgu, doprowadzając do tego, że nieświadomie realizujecie jej pseudoprzepowiednie. Wiecie,

co możecie zrobić, by wreszcie zatrzymać to, co robi? Przestać się jej bać. Przestać nazywać ją wiedźmą, a zacząć jej współczuć.

Rozejrzał się wśród zebranych. Wujek Rafał wpatrywał się w pstrąga w galarecie, ciotka Elżbieta płakała, kuzyn Franek potakiwał głową i mrugał do niego; ze strony siostry Magdy też płynęły ku niemu gesty uznania; jego mama zaś cała się trzęsła. Niespodziewanie odezwała się babcia.

– Ty mi synek tyle przykrości mówisz, a babcia dla ciebie prezent przygotowała.

Wygrzebała z torebki małą paczuszkę, co trwało całą wieczność, i wyciągnęła ku niemu szponiastą dłoń.

– Co to? – zapytał i mimowolnie odebrał od niej prezent.

– Przyda ci się.

– Mydło? – powiedział, oglądając kartonik skrywający środek czyszczący. – Super – dodał i usiadł na swoje miejsce.

– Chce ktoś spróbować mojej sałatki? – zapytała Elżbieta. Kilka osób zapytało ją o to danie. Temat rozmowy się zmienił. Większość osób przy stole z wdzięcznością spojrzała na ciotkę, która rozładowała gęstą atmosferę.

W dwa dni później Basia, daleka krewna Bartka, która opiekowała się Bogumiłą, odebrała telefon. Po odłożeniu słuchawki ze łzami w oczach poinformowała starszą kobietę o tym, że Bartek w drugi dzień świąt wybrał się do Tomka, swojego dawno niewidzianego kolegi uwielbiającego łyżwiarstwo. Niespodziewanie otrzymał od niego łyżwy. Tomek chciał, by jego kolega nauczył się na nich jeździć i zaczął mu towarzyszyć w uprawianiu jego ulubionego sportu. By wypróbować prezent od przyjaciela, Bartek wybrał się na jezioro. Podczas jazdy wpadł pod lód, stracił orientację i utonął.

Bogumiła pokiwała z zadumą głową.

– To się chłopak porządnie wykąpał – powiedziała, a potem ucięła sobie popołudniową drzemkę.

SZCZELINA

– Jasna cholera! – powiedziała do pustego mieszkania. – Powiedz, że masz tutaj te klucze, błagam cię, Marek – mruzczała pod nosem, zaglądając w przedpokoju do szafki wypchanej jego szpargałami. Przerzuciła dwie małe piły ręczne, wiertarkę, komplet wiertel, śrubokręt z wymiennymi końcówkami, poziomice... Spojrzała na palce. Lśniły jakimś smarem. „Marek!” – krzyknęła. Poszła do łazienki i zaczęła szorować palce szczotką. Gdy doprowadziła je do porządku, wróciła do korytarza i ze złością zamknęła szafkę nogą.

– Gówno – powiedziała.

Po raz piąty zadzwoniła do męża. Nie odebrał. Był na pieprzonym wypadzie na ryby z półgłówkami z pracy. Właśnie teraz, gdy potrzebowała jego pomocy!!! Aaaaaa!!! Przecież tego sobie nie odpuści. Nie po to kupiła odpowiednią torebkę i sukienkę.

– Moje buty, biedne buty... – powiedziała, siadając pod ścianą korytarza. Chcąc nie chcąc przypomniała sobie, jak kazała je mu wynieść wraz z innymi jej rzeczami na jakiś czas do piwnicy, by zrobić miejsce w szafie. Kiedy to było? Jakies trzy miesiące temu? Skąd wtedy mogła wiedzieć, że to się tak ułoży? Nie wiedziała, a więc winny był... Chciała go o wszystko obwinić, ale on nie był w ogóle winny. To było najgorsze... Czy gdyby był w domu zapasowy komplet kluczy, to by z niego skorzystała? Nie była pewna. No, tak naprawdę to była. Nie weszłaby do piwnicy. Było jej teraz cholernie głupio z powodu tej typowo kobiecej słabości, ale nic nie mogła na to poradzić. Po prostu bała się piwnic. Bała się pajaków, szczurów, myszy, robactwa i... duchów trochę też...

„Wystarczy zejść kilkanaście kroków po chodach, potem kilka kroków prosto, otworzyć kłódkę, wejść do ich boksu w piwnicy, znaleźć

buty, wziąć je do ręki, zabrać do domu, przetrzeć szmatką i już!”
Tak blisko, a tak daleko.

Oczywiście wyobraźni widziała, jak zakłada szpile w kolorze młodej trawy, ubiera zieloną sukienkę i zakłada na ramię malutką torebkę od Michaela Korsaa. Mogła tylko pomarzyć, że dzisiaj w klubie zrobi furorę. Będzie musiała iść w tym, co ostatnio, albo założyć coś starego. Świat jest jednak do dupy.

Gdy traciła już nadzieję, wpadła na pomysł, by zadzwonić do byłego właściciela mieszkania. Z tego, co pamiętała, mieszkał niedaleko, a gdy się wyprowadzał, mówił coś o komplecie kluczy, którego im nie przekazał przez nieuwagę. Co mu wtedy powiedzieli? Że nie ma problemu, bo i tak wymienią zamki. Czy Marek wymienił je w piwnicy? Wątpiła. Był zbyt leniwy... Oby był zbyt leniwy.

W umowie sporządzonej u notariusza cztery miesiące temu sprawdziła, jak się nazywa facet, który miał być jej wybawcą. Potem do niego zadzwoniła. Szczebotała do słuchawki, była typową damą w opałach szukającą silnego męskiego ramienia..., które poda jej kluczyki!

Facet się zgodził! Przyjechał po godzinie. Niestety śpieszył się i od razu się zmył. Co teraz? Ma wejść tam sama? Może kogoś poprosi? Koleżankę? A może wreszcie przestanie trząść pięknym tyłeczkiem i sama pójdzie po buty, to przecież tylko „kilkanaście kroków po schodach, potem kilka...”.

– Dobra – powiedziała do swoich myśli. – Pójdę do tej jaskini stra... Do piwnicy po buty!

Poszła. Z miotłą – orężem gospodyni domowej.

Nie było tak źle. Były pajęczyny, ale nie widziała pajaków. Było sporo brudu, ale nie było robaków. Były trutki na szczury i myszy, ale nie było szczurów i myszy. Uf.

Weszła do ich boks w piwnicy. Podniosła w górę miotłę i stanęła w rozkroku, przyjmując bojową postawę. Zaczęła węszyć. Nawet nie pachniało źle. Właściwie nie wyczuła żadnego zapachu. Jedynie jej skóra mówiła jej, że powietrze jest wilgotne.

Włączyła światło trzonkiem miotły. Omiotła wąskie i długie pomieszczenie. Chyba wszystko w porządku... chociaż... Czy na ścianie naprzeciwko wejścia była szczelina? Była. Kurcze, i to jaka! Miała ze dwa metry długości.

Podeszła do niej. Patrzyła na głębokie pęknięcie przypominające ranę. Im bliżej było jego środka, tym było głębsze. Składało się z odpadniętego tynku, wyszczerbionych cegieł i jakiejś zaprawy. Było bardzo nieregularne.

Nie mogła się powstrzymać – włożyła do szczeliny trzonek miotły. Najpierw delikatnie, potem, gdy nie poczuła oporu, mocniej i głębiej. Trzonek wśliznął się w pęknięcie z lekkim młaśnięciem. To ją zaintrygowało. Wyjęła drewno ze szczeliny i przejechała po nim palcami. Trzonek pokrywał jakiś śluz. Nie pachniał.

Zmarszczyła brwi. Pomyślała, że musi o tym powiedzieć Markowi... Zaraz, to on zajmował się piwnicą. Schodził do niej... Ile? Ze trzy razy w tygodniu. Po kompoty od jej dziadków, po ziemniaki, po jakieś szpargały. Przecież musiał zauważyć dwumetrową szczelinę. Dlaczego jej o niej nie powiedział?

Wyciągnęła komórkę i znów do niego zadzwoniła. Znów nie odebrał. No nic, porozmawia z nim później.

Zanim wyszła, zaczęła szperać w starych meblach stojących na prawo od wejścia, by zlokalizować buty. Ha, były w piątej szafce z rzędu, którą otworzyła. Całkiem niezłe.

Wróciła do domu, zrobiła sobie coś do jedzenia i obejrzała serial. Podczas śmiania się z perypetii bohaterów „Przyjaciół” niemal nieświadomie drapała prawą dłoń. Po obejrzeniu dwóch odcinków postanowiła ogarnąć kuchnię, a potem zacząć robić się na bóstwo.

Umyła naczynia, zrzuciła na ziemię okruchy z blatów i sięgnęła po miotłę, zerkając na elektroniczny zegar piekarnika. Poczuła jakby dotknęła gąbki, a potem usłyszała ciche plaśnięcie. Spojrzała w kąt za drzwiami, w którym zostawiała miotłę. Trzymała kawałek zgniłego i spróchniałego drewna. Wyglądał jak kał. Odrzuciła go z cichym okrzykiem i spojrzała na resztę miotły. Kawałek trzonka, znajdujący się

powyżej miejsca jej chwytu, odpadł i leżał wśród okruchów startych z blatów. Reszta kija od miotły wygięta się w łuk, który w każdej chwili mógł pęknąć.

– Co jest, kurwa... – powiedziała i zamarła. Spojrzała na dłoń. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała źle. Jednak gdy skierowało się na nią dużo światła...

– Ja pierdole... – powiedziała do pustego mieszkania. Zawinęła dłoń w chusteczkę i poszła do apteki. Kupiła coś na podrażnienia skórne. Wróciła do domu i naniosała na wnętrze dłoni niemal połowę tubki z kremem na skórne oparzenia, podrażnienia, zadrapania itd. Potem usiadła i zaczęła głośno oddychać. Nie mogło jej się nic stać. Nie istnieją substancje, które mogłyby zrobić jej krzywdę, a już na pewno nie istnieją w jej piwnicy, w jakiejś dziwnej szczelinie.

Wstała, by pójść do drugiego pokoju po telefon, zadzwonić do mamy i się jej poradzić. Wtedy zakręciło jej się w głowie. Postanowiła więc usiąść jeszcze na chwilę, uspokoić się, a dopiero potem zadzwonić.

Ocknęła się po dwóch godzinach. To, co zobaczyła, sprawiło, że zaczęła krzyczeć. Darta się kilka minut. Wreszcie wbiegła do niej sąsiadka. Na szczęście drzwi do mieszkania poszkodowanej nie były zaryglowane.

– Co się dzieje? Co pani... – powiedziała mała sąsiadka, zamilkła, wzięła wielki haust powietrza, a potem dodała:

– Jezusie, już dzwonię po ambulans...

Gdy czekały na karetkę, jej cała ręką, prawa pierś i szyja były zupełnie czarne. Nie bolały jej. Miała wrażenie, że po prostu obumarły, że nerwy przestały w nich istnieć. Traciła czucie. Traciła swoje ciało. Swoje życie. Przez co? Przez jej ciekawość. Zajrzała tam, gdzie nie powinna zaglądać kobieta. Dostała się w rejon dla niej zakazany, męski, skryty przed światem, w którym czają się tajemnice mogące zabić.

Teraz, patrząc na trzymającą się za głowę sąsiadkę, a także kilku gapiów, którzy bezczelnie weszli do jej domu i zaglądali do jej salonu,

by popatrzeć na umierającą kobietę, coś zrozumiała.

Zrozumiała, że Marek ją zdradził. Że zniszczył ją i siebie. I ich wspólną przyszłość. Dla niej nie istniało jutro, dlatego lekarze jej nie pomogą. Dziś umrze.

DOWCIPY

Agata rozbijała jajka i czuła się upokorzona. Potem ucierała je z masłem i cukrem, myśląc o tym, co powiedziała jej ta... ta.... Powiedziała, że nie lubi tego ciasta, ale że to jej jedyny wypiek, który da się przelknąć. A Agata go teraz robiła. Miksowała, dodawała mąki, szczyptę nienawiści, ubijała białka, a na koniec posypywała ciasto cukrem pudrem i niedowierzaniem.

Usiadła z brudnymi dłońmi, wśród brudnych misek, i spojrzała przez kuchenne okno w dal. Kiedy stała się bohaterką dowcipów o teściowych? Kto przeniósł ją w alternatywną rzeczywistość generującą zabawne scenki dla ludzi pochodzących z normalnego świata? I dlaczego? Czym zasłużyła sobie na męża maminsynka i teściową, która była jej prywatną Magdą Gessler?

Ostatnia wizyta ukochanej mamusi sprawiła, że zaczęła słyszeć w głowie oklaski i śmiech podobny do tego, który puszcza się tuż po scenach w serialu, które miały być zabawne. Ostatnio ukochana mamusia wysłała swojemu synkowi zdjęcie jakiejś dziewczyny, którą on kiedyś miał na oku, i zapytała, czy nadal mu się podoba. Gdy on mruknął coś niezrozumiałego, ona dodała: „Tak powinna wyglądać prawdziwa kobieta”. Agata zerknęła na wyświetlacz męża i zobaczyła na nim wysoką blondynkę. Ona była niską szatynką. Bum, tsssss. Wtedy usłyszała oklaski i śmiech.

Zrobiło jej się gorąco na twarzy. Chciała krzyknąć, rzucić w teściową telefonem z pieprzoną blondyną, powiedzieć coś mocnego... Nie zrobiła nic. Była na roczku bratanka męża. Było trochę gości, wszyscy siedzieli blisko siebie... Jak mogła coś zrobić?

A teraz siedziała przy brudnych miskach, patrzyła w dal, a pod jej nosem stygł sernik wiedeński. Miała ochotę zrzucić go na ziemię, podeptać albo... zatruć. Tego też nie zrobiła. Nie chciała tracić sił

na tłumaczenie sobie, co ją powstrzymało. Woląta pozmywać, zatrzasnąć się w sobie, by przygotować się na kolejne upokorzenie, do którego miało dojść podczas dzisiejszej wizyty teściowej.

A gdzieś w zakamarkach jej pamięci rozgrywały się smutne sceny...

– A co to jest? – powiedziała teściowa, wznosząc w górę szklanekę z kompotem.

– Kompot z gruszek i śliwek – odpowiedziała Agata.

– Myślałam, że twój mocz do analizy. Nie wyglądasz zdrowo.

Nie ma to jak strzał z dubeltówki!

– A ty, kochana, w ogóle stanik nosisz?

– No tak, a o co chodzi?

– A to nie szkoda pieniędzy na takie piłeczki golfowe? Ja to się czasami zastanawiam, czy mój synek to gejem nie jest.

Hahahahahahahahahahahahahahaha!!!

Śmiech i brawa. Trzeba było je podkładać, bo żarty nie były śmieszne. To właśnie było najgorsze. Nie dość, że była bohaterką dowcipów, to na dodatek nieśmiesznych dowcipów. Kto je tworzył? Kto był jej bogiem? „Może powinnam modlić się do Strasburgera?”

Uporządkowała kuchnię, wyszła na korytarz i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Zmiotka i szufelka wypadły jej z rąk. Chwyliła się za szyję, która w dotyku, pomarszczona i wiotka, skojarzyła jej się z jej starą zniszczoną torebką.

Wydobyła z siebie cichy pisk stłumiony przez przerażenie i ściskające gardło dłonie. To było niemożliwe! To nie działo się naprawdę! Była, była... Miała napuszone, rzadkie blond włosy, sprawiające, że jej głowa wydawała się niezwykle szeroka, zaczerwienione, ruchliwe oczka, pionowe zmarszczki przy ustach przypominające makijaż na Halloween kogoś, kto chce uchodzić za kościotrupa, chudą i wysuniętą w przód brodę... Była, była... swoją teściową!!!

Pobiegła do łazienki i zaczęła instynktownie szorować twarz, jakby mogła zmyć ją jak obrzydliwą maskę. Szorowała ją gorączkowo najpierw mydłem, potem mleczkiem do ciała, potem ręcznikiem.

Sprawiła jedynie, że okropna twarz stała się zaczerwieniona, przez co bardziej upiorna.

Wydała z siebie ni to krzyk, ni to wycie, po czym osunęła się na podłogę łazienki i mocno zamknęła oczy. Po ich otwarciu nie sprawdziła w lustrze, czy nadal jest paskudną wiedźmą. Wystarczyło, że spojrzała na swoje paznokcie z szeroką płytką, pomalowane bezbarwnym lakierem, którego niemal nigdy nie używała.

Wstała i pobiegła po telefon. Po drodze zahaczyła o półkę z książkami. Tuż przed jej stopami upadła „Granica” Zofii Nałkowskiej. Gdzieś w jej głowie coś zaiskrzyło, skojarzyło powieść z jej sytuacją. Czyżby stawała się taka jak jej rodzice? Ale przecież teściu... Nie, to była jej mama. Tak musiała do niej mówić, by nie urazić męża, którego przecież kochała. To była jej mamusia, która zmieniła ją w potwora dla jej synowej! Zaraz, zaraz, jeśli podążyc tym tokiem rozumowania... Czyżby miała syna? Jezu, tak pragnęła mieć syna! Zrobiłaby dla niego wszystko! Nikomu by go nie oddała! Ale czy to działo się naprawdę? Który był rok? Poczowała się słabo. Straciła przytomność.

Obudziła się grubo po północy. „Dziennik Bridget Jones” już dawno się skończył; teraz nadawali jakiś głupi film gangsterski. Przeciągnęła się i natrafiła dłońmi na kota zwiniętego na oparciu jej kanapy. Dwa pozostałe mruczki spały na kocu obok niej.

Ziewnęła i westchnęła. Uf, to był tylko zły sen. Zły sen? Cholerny koszmar! Jakiś mąż, teściowa, dziwne żarty... Brrrr.

„Na szczęście nie wyszłam za mąż” – pomyślała czterdziestopięcioletnia Agata i poszła do kuchni zjeść porcję lodów na poprawę nastroju. Na szczęście jej życie nie było nieśmiesznym dowcipem.

SROKA

Posiadanie szwagra jest dla mężczyzny wielkim szczęściem. Szwagier to dziwna hybryda będąca jednocześnie rodziną i kimś obcym, z którą możesz wspólnie rozwiązywać męskie problemy, żeglować po morzu wódki i tworzyć front przeciwko żonie/siostrze.

Oni mieli to szczęście, że mieli siebie. Byli szwagrami. Marek był bratem i tym młodszym, Bartek zaś mężem i tym starszym. Lubili się. Uwielbiali drażnić się z siostrą/żoną, razem pić i spędzać czas w garażu. Byli do bólu stereotypowi, ale nie przeszkadzało im to. Wręcz przeciwnie. Spędzając razem czas w sposób prosty, z góry ustalony, mogli się zrelaksować i czuć swobodnie. Byli pewni, że łączy ich przyjaźń, mimo że nigdy tego nie ustalali.

Bartek nałożył sobie mizerii, przeżuł duży kawał pieczonego kurczaka i popił go piwem. Zaczął mówić o zakładach bukmacherskich. Lubił je. Nie dlatego, że mógł się na nich wzbogacić (trzy wygrane, każda po około 300 zł, które należały do jego największych osiągnięć, nie zwały z nóg), lecz dlatego, bo dzięki nim mógł marzyć. Jeśli Manchester United pokona Chelsea, a drugoligowy Brentford Fulham, a do tego w lidze austriackiej coś tam, a w lidze jakiejś tam coś innego, to może wygrać dziesięć tysięcy. Gdyby te dziesięć tysięcy postawić na jakiegoś pewniaka, to... Tak, o to chodziło. O marzenia.

Marek, mimo że był młodszy, patrzył na zakłady bukmacherskie chłodniejszym okiem. Nie miał jednak nic przeciwko, by się trochę zabawić w „Co by było gdyby”.

Dominika postrzegąca to trochę inaczej. Dla niej jej brat i mąż byli zbyt dziecinni. Czasami miała wrażenie, że nie rozwinęło się u nich to, co powinno zacząć się rozwijać u dwunastolatków – myślenie abstrakcyjne. Interesowała ich motoryzacja, piłka nożna, hazard, a szczęście definiowali jako posiadanie dużej ilości rzeczy. Jadła obiad,

dźgała widelcem udo kurczaka i po raz kolejny słuchała jak to obstawianie, kto będzie prowadzić do przerwy, to kompletna loteria i że jakiś Arek jest debilem, że się na coś takiego decyduje. Chciało jej się krzyczeć. Chciała powiedzieć, że ślub po ośmiu miesiącach znajomości to kompletna loteria i że ona jest debilką, że się na nią zdecydowała.

Spojrzała na swojego męża, a potem brata. Dwaj roześmiani chłopczy. Trochę im zazdrościła. Może nawet bardziej niż trochę. Mieli swój mały plac zabaw, nie wiedzieli, co dzieje się za wysokim płotem zbudowanym z ich ograniczeń. Ona zaś miała swoje idee. Wśród nich naczelne miejsce zajmowała ochrona praw zwierząt. Nie wiedziała dlaczego, ale los jej braci mniejszych potrafił przyćmić jej wszystko inne. Dla ukochanych zwierząt była w stanie jeździć na protesty, udzielać się w Internecie, wspomagać finansowo schroniska, pisać do Urzędu Miasta pisma w sprawie wstrzymania wycinki drzew w związku z ochroną jakiegoś dzięcioła. A Bartka nie interesowało to, jak ona spędza wolny czas. Idei nie dało się kupić, dotknąć, pojeździć na niej, więc....

– Sroczo, przyniesiesz jeszcze trochę kartofelków? – odezwał się do niej Bartek.

Ocknęła się. Co? Ziemniaczki? Ach, tak, oczywiście. Sroczo już leci.

Nazywali ją sroką, bo uwielbiała to, co błyszczące. Tylko to pociągało ją w rzeczach. Tylko to było w niej zrozumiałe dla jej brata i męża. Błyszczące rzeczy. Taaaaaak, lubiła nosić bluzki z błyszczącego materiału lub takie, które miały na sobie odbijające światło kryształki albo cekiny. Nie pogardziła torebką wysadzaną kawałkami lustra lub obsypaną brokatem... Oooo, brokat! Gdy mogła zrobić sobie z nim makijaż, była szczęśliwa.

Jej słabość nie przeszkadzała jej jednak w ochronie zwierząt. Wszystkie ciuchy kupowała z lumpeksów, prała je tylko wtedy, gdy tego wymagały, a kosmetyki wybierała spośród tych, które nie były testowane na zwierzętach.

Westchnęła i podała mężowi ziemniaki. Wiedziała, że panowie znów, tak jak zwykle, spotkają się za kilka dni, w piątek, by pić piwo i grzebać przy samochodach.

Myliła się jednak. Już w czwartkowy wieczór zobaczyła, jak jej brat wjeżdża z dużą prędkością na jej podwórko, ostro hamuje, a potem wbiega do garażu jej męża.

– Ja pierdole, stary, cały się obsrałem – powiedział Bartek stojący przed drzwiami garażu.

– O co chodzi? – zapytał Marek.

– Wpierdoliłem się w nią tam, przy Wilczyńskich, tam, wiesz, za kapliczką. Myślałem, że to pryszcz, te kilkadziesiąt metrów dojechałem do domu, potem patrzę, a tu... Idź sam zobacz i posłuchaj... Ona gada...

– Co ty pieprzysz?

– Ona, kurwa, mówi! Mówiła do mnie. Aż mi włosy dęba stanęły – powiedział, wymachując kluczem do wymiany świec, który ścisnął mocno w prawej dłoni.

– Żarcik, co? Myślałem, że sobie nie robimy pod górkę – wycedził skrzywionymi ustami, a potem splunął pod nogi szwagra.

– Jeśli żartuję, to mnie tym łomem dobij – powiedział i sięgnął do garażu drżącą dłonią, by wyciągnąć z niego stojący tuż przy jego drzwiach łom i go zaprezentować.

Marek przyjrzał się Bartkowi uważnie. Oczy szwagra go przekonały. Były zbyt ruchliwe, jakieś takie zagubione i nieobecne.

– Dobra, ale jak to jest ściema, to moja noga długo tutaj nie postanie.

– Mówię jak na spowiedzi. Albo świat stanął na głowie, albo oszalałem. – Otarł pot z czoła i spojrzął na Marka zmierzającego do jego samochodu.

Garaż Bartka nie był duży. Niemal w całości wypełniał go jego Mitsubishi Pajero z 2003 roku. W związku z tym nie trudno było zlokalizować to, o czym mówił.

Potrącona sroka znajdowała się częściowo w grillu auta. Sprawiała wrażenie martwej, wbitej w maskownicę. Najprawdopodobniej utknęła w niej prawym skrzydłem i częścią tułowia. Jej długi ogon sterczał w górę, a głowa i lewe skrzydło zwisały smętnie.

Bartek przyjrzał się jej z niewielkiej odległości, spięty i obawiający się tego, że zaraz ktoś wyskoczy zza, na przykład, słupka opon, by go nastraszyć, a potem wyśmiać. Zobaczył lekko otwarty dziób, a na nim małą kropelkę zasychającej krwi. Sięgnął po grabie. Chwytał za ich zęby, a trzonek zbliżył do ptaka. Zawahał się chwilę i dźgnął go lekko w bok.

Oko sroki błysnęło, a skrzydło zmieniło ułożenie, odbijając w swoich lśniących piórach blask wiszącej przy stropie żarówki osłoniętej drutem.

Usłyszał cichy kaszel i dźwięk kojarzący mu się z szybko potrząsaną grzechotką. Trochę się wystraszył. Po chwili jednak odetchnął. Gdzieś na łonie natury słyszał takie dźwięki. Chyba przy wysokich świerkach otaczających amatorskie boisko piłkarskie. Czasami grywał na nim z kumplami i widział przelatujące niedaleko niego sroki. Dźwięk grzechotki to po prostu sposób porozumiewania się czarno-białych, tłustych ptaków. Uf.

Odwrócił się, chciał wyjść, sprawdzić, czy szwagier zrobił go w konia, czy żartował, i wtedy usłyszał to:

– Jestem zwierzęciem. Kimś, nie czymś! Jedz z klimatem! Nie rób cyrku z życia zwierząt! Nie zabierajcie nam naszych futer! Nie pomogą dzikom kły, bo ma flintę człowiek zły! Wymarcia nie da się naprawić. Pożary palą nie tylko drzewa. A ty kiedy wyrosteś ze współczucia?

Marek natychmiast odwrócił się w stronę sroki i zrobił kilka kroków w tył. Nie spuszczając z oczu otwierający się i zamykający zakrwawiony dziób, namacał drzwi, wyszedł przez nie, po czym z hukiem je zamknął.

– O kurwa – powiedział.

Po kilku minutach dziwnej ciszy przemówił Bartek.

– Wpisałem do Internetu to, co mówi. Wychodzi na to, że to jakieś hasła obrońców zwierząt – powiedział, ściskając w ręku komórkę.

– Dominika się na tym zna... Może ją zawołać? – zaproponował.

– Pojechało cię? Narobi afery na cały świat. A jeśli nic nie usłyszysz, to będzie warczeć na mnie za to, że zabiłem ptaszka. Z babą dobrze, bez baby jeszcze lepiej. Słyszałeś o tym? – zapytał z nerwowym uśmiechem.

– A to nie inaczej szło?

Spojrzeni na siebie i uśmiechnęli się szeroko. To dodało im otuchy.

– A może sroki powtarzają to, co usłyszały od ludzi? Wiesz, tak jak papugi – powiedział Marek.

– Nie wydaje mi się, chociaż... – zaczął grzebać w Internecie drżącymi dłońmi. Po chwili poinformował, że znalazł tylko gadającego kruka potrafiącego wydusić z siebie jedynie dwa proste słowa.

– To co zrobimy? – zapytał Marek.

– Nieważne, czy ta sroka jest tylko dziwna, czy... – Nie chciał używać wielkich słów; wydawały mu się dziwnie żenujące, więc po prostu nie dokończył wypowiadać swojej myśli. – Tu trzeba sposobem. Starym sposobem. Chyba jednak łom się przyda.

Marek pokiwał głową.

– Ty czy ja? – zapytał.

– Wyciągnij przed siebie łapy – polecił.

Marek zaprezentował dłonie. To samo zrobił Bartek. Ręce męża Dominiki drżały bardziej.

– Ty się do tego lepiej nadajesz – orzekł Bartek.

– Kurwa...

Wziął łom. Był ciężki i zimny. Marek podniósł go jak włócznię, spojrzał na srokę, która znów sprawiała wrażenie martwej, po czym zdecydował się na inny chwyt. Chwycił łom jak karabin z bagnetem, spojrzał za siebie, na zagryzającego wargi Bartka, kiwnął głową i podszedł do ptaka.

– I raz, i dwa, i trzy, jebać kurwyyyyyy – krzyknął, by dodać sobie animuszu, i uderzył srokę z całej siły.

Nie spojrzął nawet, czy trafił. Uderzył drugi raz, trzeci, czwarty... Walił bez opamiętania, chciał po prostu załatwić tę sprawę i móc zacząć wątpić w to, że słyszał gadającą srokę.

– Wystarczy! Cały grill mi rozjebałeś! – ryknął Bartek, spojrzął na Marka, Marek spojrzął na Bartka... Roześmieli się. Koszmar zakończony. Nie będzie im tu siła nadprzyrodzona w garażu się gnieździć!

– Słyszysz coś? – zapytał po chwili ciszy Bartek.

W nagłym przyptywie odwagi Marek podszedł do zmasakrowanej maskownicy i nadstawił w jej stronę ucho.

– Nic a nic – odrzekł. – Takiego nawalania na pewno nie przeżyła.

– No i pięknie! – krzyknął Bartek, podszedł do szwagra i poklepał go po plecach. – Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Marek wpatrywał się w zniszczoną maskownicę, starając się wzrokiem wyłowić z niej ciało sroki, gdy usłyszał, jak Bartek wydaje się siebie głośny i krótki dźwięk brzmiący jak „KY”. Spojrzął w jego stronę. Od razu zauważył swoją siostrę trzymającą króciutki trzonek szpikulca do sadzenia cebulek kwiatów, którego drugi koniec tkwił w szyi Bartka. Ciekawe było to, że szpikulca po zakupie nie był ostry, a mimo to dobrze zagłębiał się w glebę. Po jakimś czasie jednak jego metalowa końcówka stała się przez spotkania z kamieniami zbyt płaska, by można było jej efektywnie używać. Wtedy Dominika poprosiła męża, by coś z nią zrobił. A on ją naostrzył. Zrobił to porządnie, dzięki czemu teraz szpikulca mógł znajdować się w jego szyi.

Bartek wydał z siebie chrapliwy dźwięk i instynktownie zrobił krok w bok, byle dalej od zagrożenia. Jego ruch uwolnił go od szpikulca. I od sporej ilości krwi tryskającej z przebitej aorty.

Marek zapatrzył się na czerwony strumień, który wznosił się i opadał, wznosił i opadał, w rytm pracy serca, które zaraz miało się zatrzymać.

Jego fascynacja drogo go kosztowała. Dominika prysnęła mu w twarz środkiem chwastobójczym, który kupił dla niej mąż, a którego ona użyła właśnie po raz pierwszy. Dla Marka leżący na posadzce

szwagier, nieudolnie próbujący zatamować krwawienie dłońmi, natychmiast zniknął. Zastąpiła go ciemność i ból, przez który oszołomiony mózg nadał ciału krótki rozkaz: „Uciekaj!!!”. Marek starał się zrealizować ten plan. Przyciskając dłonie do oczu, ruszył przed siebie, zahaczył o ciało szwagra i runął w kałużę jego krwi.

W akompaniamencie krzyków Dominika otworzyła drzwi wjazdowe do garażu, wsiadła do terenówki męża, uruchomiła silnik i ruszyła przed siebie. Potem cofnęła i znów pojechała do przodu. Powtórzyła tę czynność kilkakrotnie. Potem wreszcie wyjechała z garażu i zaczęła śpiewać utwór „Dreamer” Ozziego Osbourne. Nikt jej nie uciszył.

PRZY HERBACIE

Miał już 85 lat. Zdarzało mu się, zupełnie nieświadomie, zapatrzeć w bordowy skrawek dywanu leżący tuż przy meblościance z jasnego drewna. Jego usta otwierały się wtedy nieco, zaczynały delikatnie drgać i wyrzucać z siebie z cichymi westchnięciami powietrze. W takich chwilach Stanisław zadawał sobie naiwne pytanie o to, kiedy minęły wszystkie jego lata. Nigdy nie potrafił odpowiedzieć sobie w pełni na to nurtujące go pytanie. Nie wysiłał się nawet zbytnio. Wiedział, że nigdy nie znajdzie satysfakcjonującej odpowiedzi. Myślał o minionych latach, bo sprawiało mu to bolesną przyjemność, bo w trakcie tych rozmyślań mógł wpaść w coś przypominającego trans, w którym otaczający go świat na jakiś czas znikał.

Z jego medytacji najczęściej wytrącała go żona, Bogna. Najczęściej zadając mu pytanie o to, czy nie powinien wziąć tabletek, rozprostować nóg albo pójść do toalety. Czasami zdarzało mu się nie trzymać moczu, potrafił być zapominalski, a jeśli długo siedział bez ruchu, nie mógł wstać o własnych siłach.

W chwilach, gdy patrzył na żonę, nie czuł już nostalgii, niechęci albo gniewu. Nie przeszkadzała mu już jej obwisłe piersi, kiepsko podtrzymywane przez źle dobrany stanik, i jej spory brzuch, który sprawiał, że wyglądała jak sptawik – wąska z góry i z dołu, za to nabrzmiata pośrodku.

W ogóle już mało rzeczy go obchodziło. Kompletnie nie ruszały go brudne ściany ani jego własne słowa wypowiedziane cztery lata temu, że maluje je po raz ostatni, bo jest już za stary na przeprowadzanie prac remontowych. Ile jeszcze było takich ostatnich rzeczy w jego życiu? Czy któraś z nich została zakończona za szybko? Nad tymi pytaniami też czasami się zastanawiał i na nie też nie starał się uzyskać odpowiedzi. Raczej interesowała go sama koncepcja czasu, który

sprawił, że stał się tym, kim się stał. Szwankującym mechanizmem, który nie produkował już niemal nawet myśli i uczuć.

Tylko to, czym był czas, zajmowało go na poważnie. Zastanawiał się, czy za tykającym mechanizmem na ścianie i jego nadgarstku stoi Bóg czy szatan. Czy spokój, którego doświadczał po wielu latach pulsującego po cichu gdzieś w jego sercu niepokoju, to coś wspaniałego, czy przerażającego do szpiku kości. Na to pytanie też nie potrafił sobie odpowiedzieć, ale przynajmniej myślał o nim intensywnie.

Pewnego dnia zaś zasiadł w swoim wytartym fotelu i umarł. I tyle. Jako datę jego śmierci podano 24 kwietnia 2020 roku. Lekarze mylili się jednak. Stanisław zmarł dawno temu, pewnego zimowego dnia w roku 1968. To właśnie wtedy, pijąc herbatę, uznał, że jego marzenie o staniu się pisarzem jest dziecinne i że czas zająć się czymś poważnym. To właśnie tego dnia spalił wszystkie swoje opowiadania i postanowił zatrudnić się w firmie swojego teścia, którą później przejął i rozkręcił, choć nie cierpiało ojca swojej żony. To właśnie tego dnia popełnił samobójstwo przy herbacie z cytryną, imbirem i miodem.